

ZBIÓR POEZJI

pod tytułem

Ziemiański

zajmuje w sobie

Ziemiańska, w trzech częściach.

Wiersz Bohaterski: Opis tarczy Achillesa.

Wiersz Bohaterski: z Iliady Homera.

Jan Bielecki, Powieść z dziejów Narodu Polskiego, w pięciu częściach.

Hippolit, Tragedya Seneki.

Katon, Tragedya Adyssona; Katon o nieśmiertelności duszy mówi.

Przez

S. B.

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



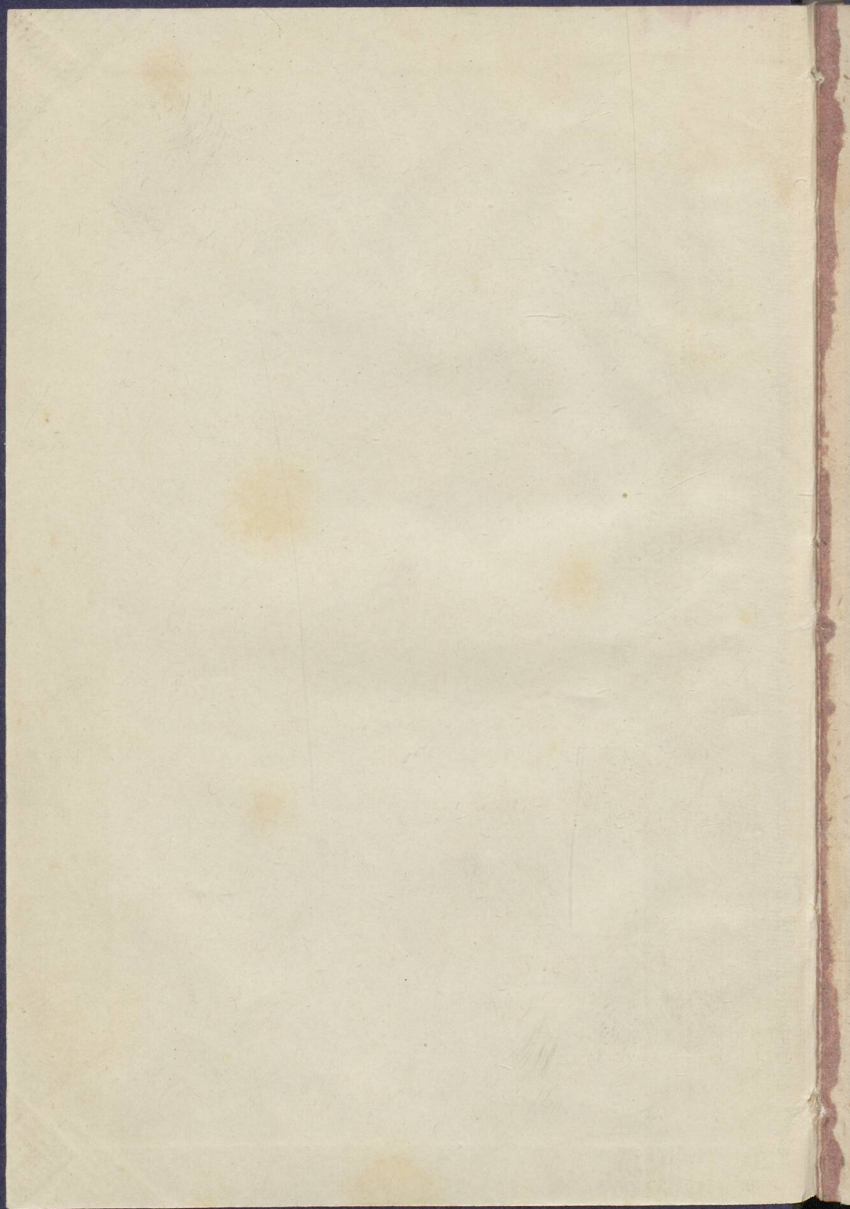
1
268547



as
as

VIII

3 112



Biemianin
POZNAŃSKI.



[S. B.....

Drukowano w Gnieźnie.

ak 2438

268547.I



1953. Da 1030

ZBIÓR POEZYI

pod tytułem

Ziemianin poznański

zajmuje w sobie

Ziemianina, w trzech częściach.

Wiersz Bohaterski: Opis tarczy Achillesa.

Wiersz Bohaterski: z Iliady Homera.

Jan Bielecki, Powieść z dziejów Narodu Polskiego, w pięciu częściach.

Hippolit, Tragedya Seneki.

Katon, Tragedya Adyssona; Katon o nieśmiertelności duszy mówi.

Przez

S. B.

THE JOURNAL

OF THE

AMERICAN MEDICAL ASSOCIATION

PUBLISHED WEEKLY

Vol. 10, No. 1, January 1, 1917

Published by the American Medical Association, 535 North Dearborn Street, Chicago, Ill.

Subscription price, \$5.00 per annum in advance.

Single copies, 15 cents.

Entered as Second-Class Matter, June 26, 1902, Post Office at Chicago, Ill., under No. 102,345.

Acceptance for mailing at special rate of postage provided for in Act of October 3, 1917, authorized on July 1, 1918.

Postage paid at Chicago, Ill., and at additional mailing offices.

Copyright, 1917, by American Medical Association.

Printed at the University of Chicago Press, Chicago, Ill.

Volume 10, Number 1, January 1, 1917.

Published by the American Medical Association, 535 North Dearborn Street, Chicago, Ill.

Subscription price, \$5.00 per annum in advance.

Single copies, 15 cents.

Entered as Second-Class Matter, June 26, 1902, Post Office at Chicago, Ill., under No. 102,345.

Acceptance for mailing at special rate of postage provided for in Act of October 3, 1917, authorized on July 1, 1918.

Postage paid at Chicago, Ill., and at additional mailing offices.

Copyright, 1917, by American Medical Association.

ZIEMIANIN.



I.

Natchnijcie mię o wdzięczne, o lube uczucia!
Gdzie człowiek spokojniejszy wśród czystego życia
Używając rozkoszy, nie czuje zgryzoty!
Kto wpaja smak do wioski, wpaja smak do cnoty,
Tam jest prawdziwe dobro, tam szczęście prawdziwe.
Lecz niewielu czuć umie jego wdzięki tkliwe;
Niedość nato mieć zmysły, trzeba darów innych,
Nie pospolitego serca skłonności niewinnych.

Jakże słodkiego wioska nie sprawia uroku
Czuć umiejacęj duszy i prawemu oku!
Naucź się przypatrywać różnych pór odmianie!
Równie jak dzień, i lato ma swoje świtanie.
Biada temu, kto traci widok tak przyjemny!
Młody motyl grób swój opuściwszy ciemny,
Wylatuje na kwiatki nowo rozwinięte
Tak piękny, tak błyszczący, tak świeży jak one,
Czując wdzięk cały życia nie cieszy się tyle,
Jak mędrzec wracające wiodąc wiosny chwile.

Ale czy miasta będziem, czy wsi mieszkańcami,
Pomnijmy, że szczęśliwi nie możemy być sami:
Szczęście najmiłsze, które dzieli z nami drudzy.
Bogacze i nędzarze, panowie i słudzy,
Wymuszają wzajemnej pomocy dla siebie.
O Wy! którym się przykrzy ciche na wsi życie,
Bądźcie w niej dobroczynni, a wieś polubicie.
Szczęście tu jest udziałem ludzi miłośnika
Wśród zgiełku rozległego miasta wszystko znika,
Lecz na wsi, pyszny zamek, chatka słomą kryta,
Bogactwo próżnujące, nędza pracowita,
Rażąc bliżej widokiem sprzeczności dotkliwym,
Oburzają cierpiących naprzeciw szczęśliwym.

Nie na wsito sam przykład niebios dobroczynnych
Zniewala nas do starań dla ludzkości winnych?
Patrz jak jedno drugiemu służy tu pospołu;
Wół daje żywność polu, pole karmi wołu;
Drzewo ciągnie sok ziemi, a drzewa ostatki
Powracają spruchniałe do łona swój matki;
Góry spragnionym łąkom sączą zdroje czyste,
Woda chłodzi powietrze, a powietrze mgliste
Wynosząc z ziemi wodę z świeżą wraca rosą:
Tak wszystkie rzeczy wzajem pomoc sobie noszą;
Wszystko daje i bierze, służy i używa:
Sam człowiek nieużyty z przymierza to zrywa,
Jeden chcąc powetować rzut nieszczęsnych kości:
Jak wydzierca łakomy swe przebiega włości:
Nigdy go smutny widok nędzy nie poruszył;
Tysiące łez wycisnął, żadnej nie osuszył.
Ten znowu jak ciężaru chce się pozbyć złota.
O bezwstydnym bogaczu! za cóż ta sierota
Pod murem twego zamku z nędzy dogorywa?
Za cóż ta w twojej wiosce wdowa nieszczęśliwa?
Te dzieci wołające o litość do nieba?
Te panny bez posagu, ci starcy bez chleba?

O gdybym wioski małej został kiedy panem!
Stan mój byłby dopiero najszczęśliwszym stanem:
Piękne drzewa i kwiaty miałbym tam do koła,
A nadewszystko szczęściem jaśniające czoła:
Niechciałbym żeby trując serca mego radość
Głód przykrą w moich oczach rozpościerał bladość.
Lecz nie cierpię próżniaków: sierp, kosa, motyka,
Wóz, pług, słowem: sprzęt wszystek zbrownowi rolnika,
Czekalby na ubogich: a dzień swój skończywszy,
Do mego domu każdy biegłby najszczęśliwszy,
Gdzie go zrak mych doszła wysłużona płaca;
A takby u mnie nędzę odpędziła praca.

Niedość na tém: niech biedni w starości w potrzebie
Ratunek i pociechę będą winni tobie,
Z pokojów przeznaczonych dla natrętnych gości
Poświęć najmniejszy jeden cierpiącej ludzkości.
Tam złożone w porządku bez płonnej ozdoby
Niech zbawienne lekarstwa czarują choroby.
Próżniak co z nudów twoje odwiedzi ustronie,
Chętniej będzie wychwalał w pasibrzucha tonie
Twoję złoconą szalę, kobierce kryształy;
Lecz ten skład serca czułe będą szanowały,
Niech czasem twarz dziedzica ujrzą chorzy twoi:

Sam wzrok pocieszający moc lekarstw podwoi;
Prowadź tam dzieci twoje: czasem i bez ciebie
Niech niosą dar nieśmiały, nieśmiałej potrzebie.
Lecz nadewszystko córkę twoję prowadź z sobą,
Niech z wstydem tę najtkliwsze piękności ozdoba,
W nieszczęściu wsparcie niosą, w chorobie nadzieję,
Jak Anioł pocieszyciel nędznym zajaśnieje,
A za przykładem, jaki matka jój wystawia,
Niech sama do dobroci rumieniać się wprawia.
Tak dzieci twe naukę i wzór mając razem,
Równie z duszy jak z twarzy będą twym obrazem:
Posagiem ich twój przykład, twém dziełem ich cnoty.
O wy, lekarstwo od nudów szukające trzpioty,
Których zbytek wieś niszcząc stolicę panoszy,
Patrzcie, i pozazdroście tych prostych rozkoszy.

Nieraz człowiek co piędzi gruntu nie posiada,
W myśli miastem obszerném lub królestwem włada.
Ja nie wzdycham i w samych obłędach marzenia,
Abym wręku mych ważył mocarstw przeznaczenia;
Szczęścia skromniejszy obraz wystawiając sobie,
Czasem się naczelnikiem wioski małej robię,
Rozządzam samowładnie moje szczupłe kraje,
Lecz na własnych staraniach jeszcze nie przestaję!

Chcąc aby nosząc pomoc dla siebie wzajemną,
Wszystkie władze wsi mojej łączyły się ze mną;
O ty, któremu wiejskie to poświęcam pienie,
Pozwól niechaj wobraży naukę zamienię.

Widzisz ten dom na wzgórku skromny lecz przy-
stojny?

W jego to mieszka ścianach kapłan bogobojny,
On się do tronu Stwórcy swym głosem przedziera,
I wszystkie skarby niebios dla téj wsi otwiera.
Błogosławi małżeństwa, nędzy wsparcie daje,
Poświęca drzew owoc i pól urodzaje,
Przyjmuje na świat, w życiu człowieka wspomaga;
Zbroi na śmierć i nieba za umarłych błaga,
Nie, nigdy na tak ważnym w mojej wsi urzędzie,
Chwili zdierca i podły wichrzyciel nie będzie,
Sobie pobłażający, a dla innych srogi,
Co przez łakomstwo kościół porzuca ubogi,
Znieważa swoim głosem kazalnicy świętość,
I wkołój ubóstwiając dzienną osób wziętość,
Naukę obyczajów stosuje do mody.
Kochający i wzajem kochany od trzody,
Obojętny na burze, w zasadach gruntowny,
Dobry pasterz jest taki, jak ten wiaź szanowny,

Co będąc opiekunem wsi zabaw niewinnych,
Przez lat sto już użyczał cieniów dobroczynnych,
A którego gałęzie niezwiędłe wiek cały
Na wzrost dziada i wnuków dojrzłość patrzyły.
Swoją dobrocią, radą i czynną posługą
Jest ów dla wioski naszej opatrnością drugą;
Przed okiem jego dary ty znasz wielki Boże!
Często w ustronie, kędy stawia los okrutny
Wszystkich zebranych razem nieszczęść widok smutny,
Gdzie mieszka nędza, boleść i śmierć najstraszniejsza,
Wchodzi; — zaraz choroba srogość swoją zmniejsza:
Znika nędza, śmierć nawet okropność utracą,
Nieraz kto w biedzie wspiera, od zbrodni odwraca:
Błogosławi mu nędzarz, bogaty go ceni.
Często dwaj przeciwnicy gniewem zapaleni,
Wieczną zgodę u jego poprzysięgli stołu,
I ściskając się z sobą wrócili pospołu.
Czcij prace jego. Twoje gorliwe staranie
Niech ze starożytnego plebanów mieszkania
Zrobią mu dom przystojny lecz nie okazały:
A kiedy wewnątrz cnoty będą w nim jaśniały,
Niech go zdomi przyjemne zewnątrz ochędóstwo:
Okazałość oburza, poniża ubóstwo.
Gdy on swoich dochodów tak dobrze używa,
Ty mu nie żałuj szczątki bogatego żniwa.



Kościół jego wzbogacaj i ołtarze przystrajaj,
 Znim się dla wspólnych potrzeb świętym związkiem
 Wspajaj:

Jakoż miłszy się widok nad tę wieś znajduje,
 Którą pociesza mędrzec, potrzeba buduje?

II.

O! jak luby wioski mieszkaniec ojczystej
 Co szlachetne skłonności żywiąc w duszy czystej
 Udoskonała rozum i uprawia niwy!

On sam natury skarbów używa szczęśliwy,
 Smutnej niewiadomości otoczony mrokiem

Gmin spogląda na wszystko obojętnym okiem:

On, co się celów nieba zgłębiać nie ośmiela,
 Nie umie się od stworzeń wznieść do stwórcy.

Nie dla niego to złożył malarz doskonały

Ze zgodnych niezgodności świata obraz cały.

Nie wie on jak sok błedny przez tajne krążenie,
 Zgrzanawem słońcem ziemia sączy się w korzenie,

Zkorzeni wpien wstępuje, z pnia w gałęzie drzewa,
 Kształci liść, kwiat rozwija w owoc się ulewa:

Jak się przejrzysty kryształ w jaskiniach wylega:

Zkąd zjawia się na niebie siedmio-farbna wstęga,

Obcy pośród łąk swoich, gajów i ogrodów,
 Nie raz roślin własności, płci, nazwisko rodów
 Wydziera on zgrzybiałą ręką z gęstwy krzaków
 I dzieci słowikowi i wieśnie śpiewaków.
 Lecz dla mędrca wświata poznawszy ustawy,
 W dalsze badanie umysły zapuszcza ciekawy,
 Wieś prawdziwej i czystej rozkoszy udziela,
 Natura jest bogatszą dla sztuk przyjaciela.

III.

Tak jest, ziemia i woda obfite w odmiany,
 Wdzięcznych obrazów dają zdroj niewyczerpany:
 Tak jest, codzienne widzę rozkoszy niestety
 W jezior błękie niebios błyszczą błękity:
 Rzeki co swoich pływów toczą szkło przejrzyste,
 Po nad strugą błyszczące mury kwieciste;
 Złoto żniw, czarność lasów, i szatą zieloną
 Smóg co mknąc w dolinach, albo wodach toną;
 Olbrzymie góry, niebios odwiecznych podpory,
 I rościagięte płaszczyzny w nóg ich przestwory,
 Gdy malując to wszystko farby rozlicznemi
 Słońce w całym przepychu krąży wkoło ziemi.

Kogoż ta ujmująca scena nie zdumiewa?
 Szczęśliwy kto ją ceni! szczęśliwszy kto śpiewa!
 Wszystko mu się upiększa: on podług wyboru
 Rosiane zbiera wdzięki z pola, łąk i boru,
 A w swoich świetnych rymach walcząc z przyrodze-
 niem.

Natura i okropność nawet miłą czyni,
 Naturo! o wyniosła! Wzbudzasz swemi dziwy
 Lub słodkie zachwycenie, lub strach świętobliwy,
 To już pod naszym niebem, świetna, młoda, świeża,
 Gaje, ogrody, wzgórki, doliny, poprzedza,
 Przebiegasz i strącając roś ztwojej szaty;
 Siejesz wonie, zieloność, owoce i kwiaty:
 Radzisz blask dnia pięknego czarownym uśmiechem,
 Lekki powiew Zefiru twoim jest oddechem,
 Przejmuje szelest gajów, szmer wody pieszczonój,
 Są rozhukane wdzięcznego głosu twego tony.
 To już w pustyniach dzikich władniesz, bóstwo groźne!
 Góry twój niedostępny tron dźwigają mroźne,
 Trącając się wierzchy starych sosien w obłoku
 Wieńczą się: bok ci ryją bałwany potoku;
 Z oczu ci błyska i głosem twoim piorun grzmiący.
 I ryk wściekłych wulkanów świat przerażający.

O któż wyda twą piękność, co na każdą chwilę
Wystawia cuda nowe, bierze kształtów tyle?
Któż wyda wdzięk, wyniosłość twych dzieł tak od-
miennych,

Od gór będących niebo, od odchłan bezdennych,
Od lasów, których pyszny wierzch w obłokach znika
Do fijołka, skromnego łąki miłośnika?

Ty się różne postaci wrymach na przemiany:
Zwięzłość, jasność, szlachetność, prostotę łącz spolem,
Mięszaj łagodne z mocném, ponure z wesołem.

Stony ton do przedmiotów: umiej kreślić wdziękiem
Rzecz każdą i słowami i samym słów wdziękiem.

Lekko malujlot lekki Flory zalotnika;

Niech miększy rym powtarza miękki szmer strumyka;

Gdy zaś rzeka z gór pędząc o brzeg się roztrąca,

Niech grzmi twój wierz burzliwy jak jój fala grzmiąca.

Wół ciężki, kiedy zwolna odlog twardy kraje,

Niechaj się słowo każde wlecze, cięży, staje,

Lecz, gdy w lekkich poskokach rażna leci łania,

Niech szybki jak błysk niebios, twój rym ją dogania,

Tak naśladowanych pieśni twych postęp miarowy,

Spadkami ruch wyraża, myśl naznacza słowy.

OPIS TARCZY ACHILLESA.



Wielki i tęgi puklerz, boski sztukmistrz robi,
Złoty obwód okręgi troistemi zdobi,
Szebrzysty wiąże rzemień, pięć blach w kupę bije,
A na powierzchni cuda swojej sztuki ryje.
Wydana ziemia, niebo, ocean głęboki,
Słońce nieustannemi biegające kroki,
Księżyc i niebo w gwiazdach ozdobna korona,
Plejady i Hyady, i moc Oryona;
I Ursa wozem zwana, bo jak wóz się toczy:
Na Oryona ciągle obracają oczy,
Koło bieguna krąży, wiecznemi obwody,
A nigdy się nie spuszcza w oceanu wody.

Ryje także dwa miasta dłóto nieśmiertelne,
Jedno wyraża śluby i gody weselne:
Prowadzą przy pochodniach z domu nowożeńców,
Hymen! Hymen! wołają, a grono młodzieńców
Skocznemi tany lekkie zawiązuje koła:
Brzmi fletni i oboj kapela wesola,
W progach domów, niewiasty cheiwem patrzą okiem.
Nie mogąc się tak miłym nasycić widokiem.

W témże mieście na rynku liczny lud się tłoczy,
Między dwoma mężami żwawy spór się toczy,
O zabójstwa zapłatę: ten lud zabezpiecza
Pod przysięgą, że oddał, a tamten zaprzecza.
Stawia świadki, by prędszy sprawy koniec mieli:
Na dwie strony krzykliwa gromada się dzieli.
Woźni lud uciszają: we środku zaś rada
Sędziwych, na świecących marmurach zasiada.
Biorą zrak woźnych berła, zniém każdy powstaje,
I gdy nań przyjdzie kolój, wyrok w sprawie daje:
We środku dwa talenta, dla tego nagrody,
Kto słuszną najlepszemi wykaże dowody.

Pod murami drugiego miasta wojska stoją,
Straszny blask oręż ciska: lecz wchęciach się dwoją:
Jedni je na łup dzikim skazują zapalem,
Drudzy bogactwa jego chcą wziąć różnym działem.
Lecz niestrwożeni knują zasadzki mieszkańce,
Niewiasty, dzieci, starce osiadają szańce,
Do skrytej zaś wyprawy gotują się młodzi.
Mars im srogi i można Pallada przywodzi,
Oba złote, w odzieży złotój, w złotój zbroi.
Wzrostem, kształtem celują jak bogom przystoi.
Przyszedłszy tam, gdzie zrobić zasadzkę wypada,
Gdzie się nieprzyjacielskie napawały stada,
Skrycie pochyłe rzeki zasiadają brzegi;
Dwa zaś wybrani od nich na pagórku śpięgi
Czekają, aż się zbliżą i owce i woły.
Nie myśląc o nieszczęściu, trzody stróż wesoly,
Idzie na fletni nócąc pieśni rozmaite.
Za danym znakiem męże wypadły ukryte,
Krzyk ostry na około i postrach się szerzy,
Biorą trzody, krew leją niewinnych pasterzy.
Głos boju gdy rycerze radzący usłyszą,
Wsiadają na swe wozy, piersi zemstą dyszą,
Lecą na bystrych koniach, aż wniedługięj chwili,
Nieprzyjaciół pędzących zdobycz, dogonili.
Wszczyna się bój nad rzeką: tamci walczą stale,

Obie rażą się strony w okrutnym zapale:
W pośrodku ich niezgoda, zgiełk, śmierć, wyrok srogi,
Tych rannych, lecz dyszących, porywa za nogi;
Tych zmarłych, i co mieli podpaść bliskiej stracie,
Śmierć w zbroszonej krwią ludzką uwija się szacie:
Ta strona ciągnie trupy, tamta ją odpycha.
Wszystko pod boskiem dłótem żyje i oddycha.

Tamże wydał przemyślny Bóg obszerne pole,
Liczni różnicy tłuste przewracają role:
Dopiero wnie potrzykroć zapuścili pługi:
A ile razy zakrój dokończają długi,
Dziedzic ich tam obchodzi, gdzie się kończy staje,
I pełny wina puhar każdemu z nich daje.
Ci zagrzani nagrodą słodkiego napoju,
Nowe rysują brózdy, i nie szczędzą znoju.
W złocie czystą wydała ziemię Boga sztuka,
Czerni się, i zdziwiony wzrok łatwo oszuka.

Druga niwa okryta dojrzałemi kłosa,
Żeńce tną zboże, płytkie mając wręku kosa,

Gęste spadają garście: tóż za niemi dają,
Trzój żniwiarze, co zboże w grube snopy wiążą.
I mnóstwo drobnych dzieci w pracy nie ustaje,
Zbiera garści, i pierwszym do wiązania daje.
W milezeniu król wzniosł berło, którego ta niwa,
Ciesząc się nieskończenie z obfitego żniwa.
Pod cieniem dębu, wiejską zajęci biesiadą,
Woźni, wołu zabiwszy, mięso w ogień kładą:
I żeńce znajdują pokarm, z pola wracające,
Dla nich dłonie niewiasty w miękkiej grzebią mące.

Tóż winnica obfitym płodem obciążona:
Wśród złota, którym błyszczy, wiszą czarne grona.
Tyki ze srebra rzeźbiarz porządkiem zasadza,
Rowem ze stali, płotem z cyny ją ugradza,
A jedna tylko do niej wiedzie ścieżka kręta.
Tedy wesołe chłopcy i różne dziewczęta,
Gdy czas zbierania przyjdzie, z głośnemi okrzyki,
Niosą ładowne słodkim owocem koszyki:
W środku młodzieniec, ruszać gitarą uczony,
Gra sam sobie zgodnemi przynucając tony:
Młodzież idzie i takiej wesołości rada,
W takt i nogą i wdzięcznym głosem odpowiada.

Dalój głowy i silne podnoszących szyje
Ze złota, z cyny, wołów pyszne stado żyje.
Biegną, rycząc, na paszą, tam gdzie rzeka płynie
Nurty głośno szumiące w gęstiej pędzac trzcinie.
Ze złota czterech idzie pasterzy za trzodą,
A dziewięciu za sobą śmiałych kądli wiodą.
W tém nagle dwóch straszliwych lwów z kniei wy-
pada,
Porywają buchają wśród drżącego stada:
On biedny gdy go ciągną, przeraźliwie ryczy.
Spieszą psy i pasterze, lecz wziętej zdobyczy
Wydrzeć lwom nie potrafią; już skórę odarli,
Już wypili krew czarną, i wewnątrz pożarli,
Próżno kądliów pasterze do natarcia grzeją,
Szczekają one z bliska, lecz ugryść nie śmieją.

Ryje także dolinę: téj miłej manowce,
Śnieżném okryte runem, napęlniają owce:
Widać chaty i stajnie, gdzie się kryją trzody,
I wkoło otoczone drzewami zagrody.

Ryje i cudny taniec, który Dedal w Krecie,
Wymyślił Aryadnie, prześliczną kobiecie.
Skaczą chłopcy i dziewczki, wzięwszy się za ręce:
Lekka zasłona wdzięki pokrywa dziewczęce.
Na chłopcach zaś bogatsza zawieszona odzież:
Obojój płci zurody najdobrańsza młodzież.
Dziewczęta głowy piękne ustroiły wieńce,
Na srebrze złote mają pałasze młodzieńce.
Raz jak koło (ruch jego ledwie wzrok dostrzegnie,
Gdy go doświadcza gancarz, czyli bystro biegnie)
Uczone stopy wszybkie kręcą kołowroty;
To znowu się męszając wśród wdzięcznej ochoty,
W tysiącznych kształtach płąsy lekkim robią skokiem.
Liczny lud stoi, miłym zachwycon widokiem,
W pośrodku zaś dwa skoczki, z wszystkich zadzi-
wieniem,
Unoszą się nad głowy, i słodkim brzmia pieniem,
Nareszcie świetny puklerz, sztukmistrz doskonały,
Szumiącemi obwodzi oceano wały.

JAN BIELECKI.

*Powieść z dziejów Narodu Polskiego. Rzecz dzieje
się w Brzeżanach (niegdyś na Rusi Czerwoniej,
teraz w Galicyi).*

I.

Wyprawa nocna.



O to się ciemne księgarnie otwarły,
Tu źródła bogactw w zapyłonej ranie.
Czytam... Jak dziko ten język umarły,
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie.

Język i gorszy przesąd zakonnika
Jak rdzawa klamra myśl księgi zamyka.
Czy tu wygrzebiesz dzieła Giedyminów?
Czy głos Zygmuntów, jak echo daleki?
Są to jak Sfinxy te ubiegły wieki,
Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
Znajduję słowa: „kraj nasz dosięgł szczytu;
Chylić się musiał.“ — Przecz zmysłą szatana!
Pamięć w dalekich wiekach obłąkana
Niech spornie okno klasztoru otworzy.
O jak spokojne otchłanie błękitu;
Tam zdala płynie złote kłosów morze;
A tu klasztoru szumią ciemne lipy,
Myśl rozwesela daleki szmer lasów,
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów,
Jestem wesoły, jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się naigrawa,
Znieszczyć obecnych, bezwładny — bez steru.
Gdzież jestem? Oto mury Westminsteru,
Tam izba Parów, tu Tamiza mgława
Połyska słońcem. Przebiegałem chmury
Ow pałac zmarłych zuczuciem przestachu;
Bo ja sam byłem, jak umarły w gmachu,
A oni żyli... Nie zajrzałem w mury,

Wybiegłem — więcéj nie wchodzę w te ściany...
Ale samotny wracam dziś i codzién
W dziedzieniec głazem grobów brukowany,
Po których stępa niemyślny przychodzić.
Ci co posnęli w tych grobach do koła,
Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;
Dążyli spiesznie do progów kościoła,
I umierając kładli się pod progiem.

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy
Niszczyć do reszty śladem mojej stopy.
I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy
Grobowi gmachu nie dopuści cienia,
Szaleni! dążyć pod świętymi stopy,
Nie mając w duszy wrzącego płomienia?

Posępny — siadę na odlamie glazu.
Smutną się powieść w pamięci rozwija.
Czytałem w księgach — a godło obrazu
Było: „kraj zdradził, lecz zdrada zabija.“

W kronikach znajdziesz powieści ośnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory.
Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
Na tronie zasiadł Król Stefan Batory.

Ciężkie dla szlachty były rzędy nowe,
Część po wsiach własne zamieszkała dwory.
Co było w kraju nie skreślę od razu;
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy,
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,
Nad bramą klasztor, w murach zakonniczy,
Dalej kaplica blachą powleczone,
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze.
Co ma król polski, i szlachta mieć może.
Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrne tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe,
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiecznie na skinienie służy,
Woczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy:
Spodlonym tworem Bóg odmówił mowy.

Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady,
Oto go łatwo rozeznać za stołem;
Wzłocistój szacie, ale bardzo blady,
Wydaje troski zachmurzonym czołem.
Może biesiada cierpienia ukoi!
Już od tygodnia szlachtę sprosza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dумы,
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zagrzmiały komnaty;
Już wino słabsze zwycięża rozumy,
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzeżan mówi — szlachta wstaje, słucha:

„Słuchajcie pilnie, a ja w krótkim słowie
„Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
„A potem każdy swe zdanie wypowie.
„Słuchajcie! szlachcic obraził mnie podły,
„Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
„Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
„I jam był winien! winien był Sieniawski!
„I oko w oko, przed króla obliczem,
„Widziałem wroga, nie próżno przychodził;

„Król go pochwalił — pochwalił, nagrodził,
„Nie spojrział na mnie, i odprawił z niczém.

„Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza,
„Chciałżeby władać, gdyby obcy książę?
„Wszak nasze państwo, ta gotycka wieża,
„Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
„Niechaj się jedna usunie kolumna
„Gmach cały runie, cały się rozpręże:
„Ja się usunę! — niech mnie grom dosięże;
„Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!

„Hej! szlachta, znacie Bieleckiego Jana?
„Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
„A dziś się z pany w jednym stawie rzedzie,
„Jak król udzielny w darowanój grzędzie.
„A kiedy zamki walą się pod gromem,
„On podparł domu walące się ściany,
„I tak spokojnie między niemi żyje,
„I tak szczęśliwy, że nad jego domem
„Co wiosnę bocian nowe gniazdo wije.
„Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda,
„Jękiem i dymem, iskrami płomieni.

„Bracia noc widna! — nie daleka jazda!
„Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni:
„Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
„Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę.“

Miodem i winem i ucztą zagrzany
Tłum szlachty powstał zochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem,
Migały wtłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany,
Jak się wachały brylantowe kity,
I oko ćmiły różnobarwne krasy:
Blask chyba równy, gdy w przedpotowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę;
Gdy się zmięszają wszystkie barwy borów;
Liście i kwiaty płyną jak potoki,
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.

Wali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki.
Już most zwodzony pod kopyty dzwoni;
Dalej i na pola przez ubite szlaki.

Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi,
Już pojechali. Niech ich Bóg prowadzi.

II.

Wesele.



W Brzeżan miasteczku, w kościele u fary
Jaśniejse ółtarz — potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany;
Tam pożółkniały ksiąg pargamin stary,
A owdzie stoczek złotem malowany.
Óltarz upstrzony woskowemi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpiły strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartem czołem Jan Bielecki, zbrojno,
W uzarskiej zbroi, w misiurce ze stali,

Jako do bitwy stanął do ołtarza.
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubej wmiłym dary upominku
Skladał się bukiet z róży i barwinku,
J drzał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem.
A dalej, swaty za młodym rycerzem,
A dalej, bracia husary, pancerni,
A dalej, służba w wielkim stoi kole,
Zbroją od prostej odróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem,
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory;
Błękitną barwą lśniącą jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze,
Lśnił się herb, srebrne księżycy półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strósiem piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie,

Srebrzyste strzemie i złota podkowa.
 Piękna to szata, a przy takie szacie,
 O jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
 Widne łzy w oku, widne drzenie dłoni,
 I cała postać powiewna i drżąca
 Jéj śnieżne łono westchnieniem odtrąca
 Tę młodą różę, co wpół wychylona,
 Aksamitnego dotknęła się łona. —

Dla czegoż smutna? Patrz na wód lazurzę,
 Kwiat się przegląda wjeziora kryształę;
 Choć chmury słońca nie zakryją światu,
 Kwiat liście zniszcza i kryje się wfale;
 Lilija wodna może przenieść burze,
 Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu.
 Wracają tłumnie weselne orszaki,
 Zagrali grajki, grzmiały liczne wystrzały;
 I pochodniami świcili Kozaki,
 Noc księżycowa widna jak dzień biały.
 „Stójcie!“ zawołał pierwszy swat, „przedemną
 „Nie widzę domu. Janie! wszak tu droga
 „Do twojéj chaty? ha! cóżto! la Boga!
 „Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
 „Ale nie, widzę — oto orzą plugi,
 „Wieśniak ostatniéj między doorywa.“

Kiedy to mówił — przybiegł jeden, drugi,
Patrzają, nie wierzą — sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrывa,
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
Stał przed żoną obłąkany, blady,
Na jego szatach widać krwawe ślady.
„Anno“ rzekł „Anno! wracaj! — nie mam domu:
„Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
„Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
„Już mnie domowe szczęście nie omami,
„Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
„W twojem objęciu żałabym się łzami.
„Ja nie mam domu!“ Zadrzał i spał konia.
Jak wiatr szybko poleciał przez błonia.
Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniój miedzy.

Bielecki zniknął, żadnej o nim wiedzy.
A po nim żona chodziła w żałobie.
Jój serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścioneł:

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
 Gdzie był dom Jana, samotny skowronek
 Weselił nad skiby przeoranej roli,
 Nucąc piosenkę smutku i niedoli. —

*

*

*

III.

Zemsta.



Zgiełkiem i wrzaskiem zadrzała komnata,
 Głośna to radość, lecz radość nie szczera;
 Śmiech słyhać! śmiech to wymuszony świata,
 Na bladach licach nigdy nie umiera.
 Śmiech ten jaśnieje, jako kwiaty z plótne,
 Którymi błyszczczy biesiadnika głowa;
 Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
 Wjaznie bez czucia, choć piękna lecz smutna;
 Nigdy nie żyły i w nieba błękicie
 Nie odetchnęły i nigdy nie zwiędła.

Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie,
Nad jedną chwilę rozkoszy choć błędną?

Pan Brzeżan smutny, milezący, pónury,
Porzucił tłumowi różnobarwne fale;
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury,
I wodotryski wychładzały salę.
Okno posępne gotyckiej struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
Wokoło stoły z marmuru, bursztynu;
A zram złożonych nie jedna twarz blada,
Którój wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy, smutna, nieruchoma.
Chodził starosta, krok niepewny skory,
Za nim się cienie kładły od księżyca,
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnych nowe słyhać wrzaski;
I zbiegł starosta do sali biesiady,
Zawołał pазia, pomięszany błądy:
„Paziu mój, paziu! co znaczą te maski?
„Prawie połowę zajęły komnaty,

„Czoła zakryte i tatarskie szaty.“
„„O panie, twojej bojaźni nie dzielę,
„„To jakaś szlachta zjechała kulikiem.
„„Nie są to paziu, nie są przyjaciele!
„„Szlachta by zaraz wpadła z hukiem krzykiem,
„„Zarazby pełne obległa szklanice,
„„A oni milczą, kryją tajemnicę.““
„Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
„Niechaj odzwierny...Lecz cóż to? O Boże!
„Zwodowa wieża i zamek się pali!
„O zdrada! Bracia, kto mi pomoże?
„Miecz mój i zbroja! prędzęj paziu młody.“

Już nie czas...Zewsząd tłumne pogan wrogi
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ogień pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem, paszą atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,
Czoło złocistem przystonił turbanem,
I wiarę złotym księżycem naznaczył,
Leci na czele i służbę pomija,

Nikogo odtąd uderzyć nie raczył,
 Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
 Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
 Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
 Światła zadrzały, zgasły, tylko błądy
 Świecił się płomień lamp w alabastrówce
 Ukrytych głazy. Wpadł jak śmierci mara,
 I wejście mnogą wartą zabezpiecza.
 Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara.

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
 Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
 Nad emalii zaćmionym lazurem
 Obraz Najświętszej Panny malowany,
 I obraz krzyża — pod krzyżem, na dole
 Herb, jakby srebrne księżycy półkole,
 I gwiazda nad nim, hełm ze strósiem piórem.

Błysnęły szable, obrazy święcone,
 I padł starosta na twarde granity.
 Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
 Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.

Byłato maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i jakby od gromu
Zadrzała, padła na głaz, jak nieżywa,
A Tatar przybiegł i padł na kolana,
Cuci ją, węzły ściśnione, rozrywa;
Twarz jego była straszna, obłąkana,
Chwycił ją wdłonie, unosił przez ganki,
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I włos się rozwiął, pełny słodkiej woni,
Rozwiany sływał aż do stóp Tatara
A strasznie bladą była twarz dziewicy.

Budzi się — gdzież jest? w zamkowej kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.
„Tyś to mój luby? tyś to jesteś ze mną?
„Zaklinam ciebie zdéjm zawoje z głowy!
„Niech cię obaczę — rysy twego czoła?“
I zdjął Bielecki turban muślinowy,
Anna spojrziała i padła omdlona.
Znów po niej życia rozlały się ślady,

I znów po chwili ciężko przebudzona,
Rzekła: „O luby! tak straszny! tak blady!“

— „Ha! blady?“ przerwał rycerz z dzikim śmiechem,

„Wszak zdradzam!...“ zamilkł, lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośnem powtórzone echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.

Aryusz mówił: „Tak! twarz moja blada!

„Zinnam cię twarzą wczas szczęśliwy witał;

„Ja zdradzam! będęż jak róża rozkwitał?

„Na mojem czole napisano: zdrada!

„Kraj cały we krwi... Wzniesź na księżyc oczy,

„Patrz na te okna; na szkle malowidła,

„Gdy błysnie słońce, ów anioł roztoczy

„Różane lice, a srebrzyste skrzydła.

„Lecz szklisty obraz, przejęty księżycem,

„Teraz do lekkiej widm podobny larwy;

„Ciemniejszym patrzy i niepewnem licem,

„Smutną ma postać, obumarłe barwy:

„Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy,

„Lecz gdy te same wzniosłe piękne rysy

„Oświeci nieszczęść lampa? od téj twarzy

„Weselsze będą grobowe cyprysy.

„O lubo moja, po co te rozmowy!
„Luba! chódź za mną wieść życie tułaczy!
„Chódź za wygnańcem potępionej głowy!
„Na twojem łonie dożyję siwizny,
„Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.“

— „Mój ojciec!... Ojciec?... Ojciec przeklnie cie-
bie!“

„I ty się lękasz...przeklnie!...i cóż znaczy
„Przekleństwo ojca, braci lub ojczyzny?...
„Chódź w kraj daleko, tam będziem jak w niebie,
„Znajdziesz tam łąki, gmachy, gaje;
„Są ludzie — wszyscy przyjaciółmi mymi,
„Jest wszystko! luba, czegoż tam nie staje?
„Luba! jest wszystko! wszystko! prócz téj ziemi.“

*

*

*

IV.

Kościół wiejski.



Byłato cerkiew, z modrzewia jój ściany,
Już pochylone wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany,
Słońce wzierając przez te szyby drzące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przegłądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.
Wokoło cmentarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać wiejski dzwon kościelny;
Zadzwonił, zewsząd lud spieszy przez pola.
Byłoto święto, było dzień niedzielny.
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ółtarz przystroili w kwiaty,
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca.
Ucichła... księdza tylko słychać słowa.
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergoczą wróble i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się kończyła, — oto wniskie progi,
Jaciś wędrownice wešli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła,
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął z pod płaszcza i twarz nie wesola.
Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli,
Obaj pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył.
Teraz zaczyna mówić Boskie słowa:
„O bracia! dzieci! i tegożem dożył?
„Ja stary wiekiem z ubieloną głową,
„Że kiedy nieraz osładzałem łaski,
„Dziś żal pod strzechą niosę w Bożém słowie,
„Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
„Nasz pan Bielicki, niegdyś pan tój wioski.
„Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
„Wyklął go, klątwę na me przesłał usta,
„Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
„Módlcie się, ja się będę modlił z wami....
„A teraz bracia! dzieci! ja przeklinam!...“
Zachwiał się starzec, i zalał się łzami,
Zabrzmiało amen — lecz amen żałoby,
Jakże niechętnie? dźwiękiem ledwo żywe.
Potém się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgiełk i zamieszanie.
Jeden zwędrówców, co stali w progu,
Zadrsał i upadł bez czucia na głazy;

Drugi zaś drżący i blady straszliwie,
Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza okrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek spieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca
I tam na zimnym kamieniu grobowca,
Kładą martwego śród kwiatów cmentarza;
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem, co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa,
Z pomocą pasterz trwożliwy przybywa,
Spojrzał i zadrzał; jakby blaskiem gromu!
Twarz go ta razi — twarz blada, nieżywa.
I rzekł: „Wyklęty!.. my idźmy do domu!“
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił blada,
I rzekł poważnie! „Bóg jest miłosiwy!
„A jego litość, liczniejsza nad ziarna
„Morskiego piasku, i głębsza nad morza.“

Jeden z wędrowców stał śród mogił łoża,
Oto z drugiego spadła szata czarna

I twarz odkryła... Przebóg to dziewczica!
To Anna! zost jej nie słyszano słowa;
Czy brak w niej czucia? bo sucha rzenica;
Twarz nieruchoma — jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty,
I brylantami oświecone szaty;
We włosach jasne przepaski z koralu.

„O mój najmiłszy! „rzekła“ o mój drogi!
„Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
„Tyś na mogile usnął — a w te progi
„Umarli wchodzą i śpią nad grobami.
„Ty milczysz? luby! odpowiedź mi łzami!“
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
Potém nań kwiaty rzuciła wonnemi;
„Luby, nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
„Sama w święconej pochowam cię ziemi.“

Rzekła, krzyż jeden wyrwała z mogiły,
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny;
Lecz coraz słabsza, co raz mdleje siły...
I cicho smutne płynęły godziny.

Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnój czeremchy orzeźwiało technienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;
Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy księżyc zapłoniony
Topił się w mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wysrebrzał — a nocne zasłony
Okryły cerkiew i — groby cmentarza.

Już ciemno... Anna sama jedna wnocy,
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;
Nieszczęsna boskiej wzywała pomocy,
Widna jój postać przy blasku miesiąca,
Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłonią,
Smutne się echo o groby roztrąca,
Lecz echo coraz słabsze niosło razy;
I coraz słabsze, — nikły — jako w Bogu
Tonące modły — jako śpiew daleki...
Dziewica blada na kamiennym progu,
Usnęła — może usnęła na wieki.

I cicho! niechaj głos pieśni tłumiony
Nie budzi ciszy w wieczorniej godzinie;
Całego świata gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko grzmiały pogrzebów dzwony,
Jęki rozpacz i wrzawa wesola,
I płacz boleści i śmiech obłąkania;
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy
Słuchem anioła i myślą miota. —

*

*

*

V.

Bal maskowy.



Oto ubogie szlacheckie komnaty,
 Skromne jak niegdyś naszych przodków życie.
 Ściany drzewniane, po ścianach obicie,
 W różne obrazy, wróżne chinskie kwiaty,
 Straszne jak mary, które roi dziecię;
 Zram poczerńiałe patrzą antenaty.
 A przed obrazem jedna lampa płonie,
 Gdzie Matka Boża w gwiazdzistej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornęj godziny
Głośnie wachadłem po ścianach zegary,
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie — i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał. — I pies stróż rodziay,
U wrót podwórza nie raz się odwoła
Na psów szczekanie z pobliskiego siola.

Siedziała Anna, przy niej ojciec stary,
Otwiera świętych poważne żywoty,
I czyta głośno, a spokojność wiary,
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę,
Zamienia rozpacz a uczuć tęsknoty,
I łzy zamienia w płacze nie szkodliwe;
Jako płacz dziecka kiedy rozkwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

W tém zaszczekały brytany zbudzone,
I nagle drzwi się otwarły komnaty,
Wszedł mały karzeł — czapkę miał na głowie,
Brzmiącą dzwonkami, obszyta w galony,
I rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony,
— „Na wieki wieków,“ starzec mu odpowie.

A karzeł znowu nisko schylił głowy,
I rzekł: „Sieniawski, pan mój na Brzezanach,
„Dziś mnie posyła po paniach i panach,
„Jutro was prosi na swój bal maskowy.
„Jutro do zamku tłum się wielki ściaga,
„A wszyscy w dziwne przybrani maszkary.“

— „Ha! precz mi z oczu! krzyknął Czesnik
stary,
„Precz! pan twój z nędzy, złez naszych urąga!
„Precz! bo na Boga... lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło i zdięty niemocą,
Już gniewu swego nie mógł wyrzec słowy.

Była to straszna chwila przed północą,
Wokoło słyhać nocnych kruków pienia,
I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Znagła zadrzały obrazy na ścianie,
Znów się drzwi domu na sniżaj rozbiegły:
Wszedł błądy człowiek — lecz na powitanie,
Jak zwykle Boga imienia nie chwalił;
I opatrzone w pieczęć zawinięcie
Złożył na stole i sam się oddalił.

„O córko! córko! to Jana pieczęcie!“
 Wykrzyknął starzec, воск rozłamał kruchy,
 I znalazł słowa: „Anno bądź na balu...“
 A dalej szaty ztureckiego szalu,
 Wielkie, ze złota ulane łańcuchy,
 Brylanty lśniące, jak gwiazdy w noc ciemną,
 Perły daleko łwione w Bassorze.
 Anna spojrzała i zbladła: „O! Boże
 „Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się na demną.“

Jak cudnym obraz oczom się odkrywa!
 Czy Żygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
 Czy znów w Wenecyi, co po morzu pływa;
 Do Polski wnosi karnawału święta?
 Odkąd Batory sławną Polską włada,
 Polak się bije, zabaw nie pamięta.
 Snem mu się zdają te świetne Brzezany.
 Oto są złote krakowskie komnaty,
 Strojnie watłasy i drogie bławaty.
 Podobne kształtem, złoconemi ściany,
 Oto jest zgraja królewska barwiona,
 Szaty ma cudne dorabiane twarze.
 Weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?
 Może truciznę podaje Barbarze?

Snują się tłumem, pomiędzy kolumny,
Ujrzysz tu wszystkie, zwyczajne, narody.
Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica;
A wręku jego drżą strony gitary.

Patrz oto w czarnej zasłonie dzicie ojca
Z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;
Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie oceanu. (Wenecya.)
A pieśni majtków i szum cichój fali,
Ukołysały umysł jeszcze młody:
I rzucił ślubny pierścionek do wody,
Poślubił morze i jak Tas się żali.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum balowy;
Dziwna tam maska! dziwne jój ubiory;
Każmierska szata w cudne szyta wzory,
Od szaty bije blask dyjamentowy,
We włosach toną przepaski z koralu.

Wnet się rozlega szmer walki po sali,
Kto jest ta maska?... Sam król nasz, Batory.
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
Wskarbcu królewskim... Kto jest ta dziewczica?...
Próżna ciekawość, pod maską jęj lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.



WIERSZ BOHATERSKI.

Niezgoda do boju podżęga wojsko.

Wodzowie Grecy uzbrajają się do bitwy, toż czy-
nią ryczerze Trojańscy. Bitwa zacięta i sroga.



Piękna jutrzienka z łoża Tytona się budzi,
Niosąc żądane światło dla bogów i ludzi;
Gdy Jowisz do naw Greckich śle sprawczynią jęku,
Niezgodę, bojów hasło trzymającą w rękę.
Staje wpośród obrazu, na Ulissa łodzi,
Skąd łatwo do dwu floty końców głos dochodzi,

Gdzie Ajax i gdzie Pelid stoi niezwalczony:
Ci swym ludem zajęli dwie ostatnie strony,
Zaufawszy i męztwu i barkom niezłomnym.
Skoro bogini głosem ryknęła ogromnym,
Natychmiast się Marsowy ogień w piersiach pali,
Pragną by jak najprędzėj kurzu skosztowali:
I więcėj im smakuje krew, rany i blizny,
Niżeli prędki powrót do lubėj ojczyzny.

Woła król, by do broni mieli się ryczerze:
I sam razem na ramie świetną zbroję bierze.
Kształtny obów na nodze srebrną haftką sprząga:
Na piersi kirys, cudnie wyrobiony wciąga,
Dar Cyrsira, przyjaźni spólnėj zakład miły.
Bo gdy nawet aż w Cyprze wieście rozgłosiły,
Że Grecy na okrętach niosą bój pod Troję;
Tym on darem królowi okazał chęć swoją,
Wnim różg dwadzieścia stuczna wydała robota
Z cyny, dziesięć ze stali, dwadzieścia ze złota;
Trzy modre widać węże po obudwu bokach:
Tak się one wydają, jak tęcza w obłokach,
Znak pamiętny dla ludzi, na niebie wyryty.
Przypasuje miecz, gwoźdźmi złotemi nabity:
Pochwy go srebrne kryją, ze złota pleciona

Tasma, miecz trzymająca obwodzi ramiona,
Cały kryjący ciało bierze puklerz tęgi,
Pyszna go miedź otacza dziesięć okręgi.
Z śnieżnej go cyny garbów dwadzieścia wydyma,
A jeden z czarnej stali, który środek trzyma.
Krwawym wzrokiem błyszcząca, miną groźna sroga.
Stoi w środku Gorgona zucieczką i trwoga.
Tam, gdzie do tarczy rzemień przywiązany srebrzysty,
Uderza zatwardzone oczy smok modrzysty,
Trzy w nim głowy skrzywione, jedna rodzi szyja
A przeciąglą swą postać w wielkie koła zwiła.
Nareszcie głowę świetnym szyszakiem przykrywa,
Na którym czub poczwórny, strasznie groźąc pływa:
I ostre, w miedź okute, dwa bierze osczepy,
Blask z nich idzie wysoko, aż pod nieba sklepy,
W tak okazałej zbroi króla widzieć rada
Czei go, wydając łoskot, Juno i Pallada.

Zlecają powoźnikom swym bohaterowie,
Aby konie w porządku trzymali przy rowie;
W świetną zbroję przybrane, liczne idą szyki,
Przed jutrenką straszliwe ożwały się krzyki.
Wozy wtyle a przodem pieszce ciągną rotę;
Jowisz wojska do boju zapala przez grzmoty,

I spuszcza krwawą rosę, a przez to znać daje,
Jak wiele dusz w Plutona czarne wpędzi kraje.

Na pagórku 'Trojany' zbroję przywdziwały,
Wodzem ich wielki Hektor i Polidam śmiały,
I Eneasze od ludu, jak bóg uwielbiony:
Insze zaś Trojan półki, na pole Belony,
Polip, Agenor, syny Antenora wiodą,
I równy bogom śliczną Akamas urodą.
Hektor z ogromną tarczą śmiałym stępa krokiem,
Jak odziany posępnym kometa obłokiem,
Raz krwawém błysnie światłem, drugi raz się skryje,
Tak Hektor, miecz na Greckie zaostrzając szyje,
Już w pierwszych widzian rzędach, już w ostatnie leci,
A miedź na nim, jak groźna błyskawica, świeci.

Jak żniwiarze, na polu możnego dziedzica,
Gdzie mu się zrodził jęczmień, lub piękna pszenica,
Tną naprzeciwko siebie, gęste lecą kłosy;
Tak Trojanie i Grecy, przez okrutne ciosy,
Nie pomną o ucieczce, jak wilecy zażarci,
Biją się w srogim boju zarówno uparci.
Patrząc na to Niezgoda, krwawe oczy pasła,
Sama bojom przytomna, dawała im hasła ;

Insze bogi spokojne w Olimpie siedziały,
Gdzie każdy z nich dla siebie ma pałac wspaniały.
Ale szemrzą żalując, iż rzuciwszy Greki,
Jowisz użycza swojej Trojanom opieki;
Na to on nie uważał: lecz siedząc wysoko,
Zdala od nich, otoczony chwałą, zwrócił oko,
Na okręty Achiwów, pyszne wieże Troi,
Na bijących, ginących, i na blask ich zbroi.

Póki się dzień przy świetle jutrzeńki rozwijał,
Nawzajem lud srogimi ciosy się zabijał,
Z obu stron równa strata; ale w tej godzinie,
Gdy drwalnik objad sobie gotuje w dolinie,
Gdy zemdlon pracą, czuje swe siły na schyłku,
A wewnątrz ckliwe łechce żądanie posiłku;
Grecy sobie Marsowej dodając ochoty,
I całą moc wywarłszy, łamią Trojan rotę.

Najpierwszy Agamemnon na czoło wyskoczył,
I we krwi Bijanora wodza osczep zboczył:
Tuż zaraz Oileja zabił, rządę koni.
Rzucił się z wozu rycerz, i z oszczepem w dłoni
Stanął przeciw zwycięzcy: lecz się nie ocalił;
Silnym go razem dzidy Król Micen obalił.

Uderzył nią w przyłbicę: trzasła miedź, kość pękła,
Mózg wypłynął, padł rycerz, ziemia pod nim jęła.
Odziera ich, a wzięwszy zdobycz znakomitą,
Obu na polu z piersią zostawia odkrytą. —



HIPPOLIT.*Trajedyja Seneki. -*

Hippolit, Tezeusza syn, niewinnie od Fedry macochy
o występpek oskarżony, na wygnanie od ojca po-
slany, od koni rozniesiony, życie utracił.

Hippolit

między sługi urzędy myśliwskie dzieli.

Idźcie, w las niech każdy bieży,
Gdzie Cekropska góra leży;
Gęsty grzbiet gdzie rodzi cienie,
Parnas odziany w kamienie.

Więc i tam, gdzie przy dolinie,
Byстрым prądom potok płynie,
Gdzie się wierzch skał śniegiem bieli.
Tam drudzy niechaj nie miną,
Gdzie smug zarosły olszyną.
Gdzie się trawa kwieciami śmieje,
Kiedy ją Zefir zagrzeje.
Tamże i lis w kraju niskiem,
Kręci się swoim łożyskiem;
A choć wód pędzi nie wiele,
Niepłodnym piaskiem brzeg ściele,
Wy wlewą od Maratona
Idźcie, gdzie knieja przestrona,
Robi podobno przesmyki,
Którędy chodzi zwierz dziki,
I wieczornym cieniem śmiały,
Tuż za matką drobiazg mały;
Gdzie Acharnau, i gdzie słodczy
Nieskapo Hymetes życzy.
Więc i Afidny choć drobne,
Ale do gonów sposobne:
Tam już dawno nikt nie szczuje,
Gdzie Smicen wody snuje
Jest las blisko, są i bory,
Kto do wielkich zwierzów skory,

W których wieprz przez gęste rany,
Zoraczami już oznany.
Niech psów, co cicho szukają,
Zswór coprędzej wywierają.
Na brytany zaś niech włożą,
Co im szyję trze, obrozą.
Spartańskich, choć chcą przez dzięki,
Nie puszczać z ostrożnej ręki,
I Kreteńskie całą mocą
Trzymać, chociaż się szamocą.
Przyjdzie czas uciesze gwuli,
Że głośno ogar zaskuli,
I z zawiesistej paszczeki,
Zechem da ogromne szczeki,
Póki zaś mgły ranne kropią,
Niechaj cicho szlaku tropią;
Ślad zwierzęcych stóp po rosie,
Łanię zgadną wczujnym nosie.
Ty nieś obciążoną szyją
Sieci, które zwierza biją:
Ty parkany, a ów sidła,
I tkane pierzem straszydła.
Ty weź łuk, a ty pociski:
Kiedy zaś zwierz będzie bliski,
Ostry oszczep przy osęcie

Zastaw wziąwszy w obie ręce:
Ty krzycz z zasadzki na zwierza,
Gdy idźś dalej nie dowierza:
Ty, jak wpadnie bez odwłoki
Wypaprosz, i urzněj skoki.

Przybądź święta ku pomocy,
Bogini! co świecisz w nocy,
Którój z pod mierněj cięciwy,
Nie ujdzie żaden zwierz żywy.
I co z Araxesa pije,
I co nad Dunajem żyje,
Lwa z Libii, z Krety łanią,
Gdy chcesz, twoje strzały ranią.
I we zwierzyńcach daniele
Strzelasz, nie pracując wiele,
Tygrysy morągowe,
Ury zabijasz kosmate,
Padnie kiedy chcesz żubr srogi,
Rozłożyste roniąc rogi.

Cokolwiek w polach żeruje,
Co nagi Garamant szczuje:
Co Arab słońcem spalony,

W wonnych lasach czyniąc gony,
I z Pyrenejskiej jaskinie,
I od Hirkańskiej pustynie :
I jeżeli które zbieżą,
Gdzie Sarmackie pola leżą,
Same idą pod twe strzały,
Do twojej się śpiesząc chwały.
Jeśli kto idąc do knieje,
W tobie kładł swoje nadzieje,
Každy zwierz, co był poszczwany,
Został wsieci umotany.

Ani wracając z przesmyków,
Zostawionych uszedł wnyków.
Myśliwi swe prace liczą,
Wozy ładując z dobyczą.

Krew na trąbie u każdego
Charta, i u psa gończego,
Chłopi i prości ziemianie,
Choć im się nic nie dostanie,
Tryumfując powracają,
Skoro sieci pozbierają
I jakby to dla nich było,
Tak radzi, że się zdarzyło

Dobrze coś, jużci bez mała,
 Bogini nas wysłuchała;
 Psi krzykliwi dali znaki,
 Na zwierzęce wpadłszy szlaki:
 Za mną włas, za mną, kto chyży,
 Tą drogą, którą najbliżej.

Fedra.

O Kreto! Pani niezmiernego morza,
 Skąd ustawiczne, tam gdzie wstaje zorza,
 Idą okręty w Assyryjskie brzegi,
 I w dalsze kraje czyniący zabiegi.
 Czemużes temu dała mię domowi,
 I ślubowałam nieprzyjacielowi?
 Czemuż w kłopotcie i we łzach żyć muszę,
 Troskami karmiąc utrapioną duszę?

Odszedł, i jako zwykły, tak zkażdój miary
 Tezeusz ślubnój dotrzymuje wiary:
 W otchłań ciemnego państwa zanurzony,

Śmiałego gacha żołnierza doświadczony,
Jak piękną tamtęj drogi miał przyczynę,
Żeby mężowi wydrzeć Prozerpinę.

Z Pirythousem, o jakie szaleństwo!
Niedbając na wstyd i niebezpieczeństwo.
Tak do cudzołóztw ojciec Hippolita:
I wsamém piekle okazyje chwytą.
Aleć mię gorzėj insza biada psuje,
Serce się męczy, język lamentuje,
Rośnie ból we mnie, i wspanonėj duszy,
Nie bardziėj Etnę wnętrzny ogień suszy.

Już mię i Pallas nie zabawi snadnie,
Cokolwiek pocznę, wszystko z rąk wypadnie,
Do przędze, szycia, i tkackich nawojów,
Tracę smak, dla swych wewnętrznych niepokojów.

Zdejmcie mi Panny, złotem przetykane
Purpury, sokiem Tyryjskiem maczane,
Niech miękki jedwab w mój ubiór nie wchodzi,
Co w krajach wschodnich po drzewcach się rodzi.

Precz stroje, wstęgi, kwefy, jedwabnice,
Pas tylko dajcie do krótkiej spudnice,
Szyja i uszy, niech pereł nie znają,
Które Indyjskie morza posyłają;

W włosach niech żaden zapach nie postoi,
Jakiemi je kraj Assyryjskie poi;
Tak rozpuszczone niech po barkach leżą,
I ze mną wszędzie koleczan zawieszony,
Zlewój niech będzie koleczan zawieszony,
W prawą mi dajcie oszczep ustalony.

Tak się nosiła matka nieludzkiego
Hippolita, gdy od morza czarnego,
Wiodąc do Aten bitnych panien zgraje,
Ordynanse im wojenne rozdaje;

Tak z rozpuszczonym włosem, tarcz na boku
Niosąc, biegła niedościgła oku:
Taką też i ja ubrawszy się modą,
Pobieję w lasy, gdzie oczy powiodą.

Mamka.

Skargi tve uśmierz; kto ciężkości czuje,
Narzekańiem się nie wiele ratuje;
Raczéj tu, kędy leśnéj postawiony
Ółtarz Dyanie, oddamy pokłony.
O pani lasów! którój pobyt luby,
I w dzikich górach uczynione śluby;
Twoja nam łaska niech nadzieję czyni,
O wielka wlasach i gajach bogini!



KATON, TRAGEDIA ADYSSONA.



Katon mający wręku xiegc Platona o nieśmier-
telności duszy, mówi:

Tak jest w saméj istocie, jak Platon ogłasza.
Niknie ciało, trwać wiecznie będzie dusza nasza.
Bo skąd nam ta pochlebna otucha przychodzi?
Skąd się wiecznego trwania w nas nadzieja rodzi?

Skąd bojaźń wśród nas skryta przyszedłogo zniszczenia!
Bóg te działa zbawienne i wieszczce wzruszenia,
Niebo zaiste samo, co nam stawia razem,
I stan przyszły i wieczność tak żywym obrazem.
Wieczność! miły wizerunek, lecz i pełny trwogi,
Na jakiż to świat inszy, nieznajomy, z drogi
Doczesnej tego życia przenosić się mamy?
Jakim podiedz odmianom? w co się obracamy?
W bezdenności bez końca nieograniczonej
Plac ten, ta przepaścista głębia z każdej strony,
Jest przedemną, ale ją przed oczami memi
Mgły, cienie i ciemności kryją mroki swemi.
Tego się jednak trzymam: jeśli jest nad nami
Moc wyższa (co poświadcza natura dziełami,
Świeżemi, przedziwnemi, i one w zakładzie
Niewątpliwym téj prawdy nam przed oczy kładzie:)
Musi być, że ta cnotę kocha, a gdy lubi
To co jój podobane, nie zniszczy, nie zgubi.
Jednakże niepojętym zdarzenia zamiarem,
Katon jęczy bez wsparcia, a świat za Cezarem?
Wychodźmy zniszczonego co prędzej więzienia,
Ujrzę cię prawdą wieczną, ujrzę cię bez cienia.
Zgasną gwiazdy iskrzące i świetny blask słońca,
Jasnym promieniem przyjdzie za czasem do końca,

Zwałona wieków jarzmem natura w swój mocy,
Upadnie, wszystko w ciemnej zagrzebie się nocy.
Gdy się gwałtem burzliwe zżywoły,
I świat ogniem pożarty rozsypie w popioły,
Wszystko to duch mój przetrwa. —

Koniec.



